

W rytm standardów

Nie ma wątpliwości, że góra straciła kontakt z Ziemią. Wystarczy posłuchać, co mówią ci, którzy skutki działania rozporządzenia o standardach muszą codziennie przekładać na swoje być albo nie być, tyrając na budowach i po polach.

Jerzy Przywara

Kiedyś do GUGiK można było wejść od ulicy Wspólnej i bocznym wejściem od Żurawiej, gdzie funkcjonował popularny sklepik z mapami i instrukcjami (wyjaśnienie dla młodzieży: standardami). Przy drzwiach stali (lub nie) znudzeni panowie ze straży przemysłowej. Czasami pytali, do jakiego urzędu się idzie. Potem wejściem od Żurawiej mógł wchodzić tylko personel, a w tym od Wspólnej pojawiły się na stałe recepcjonistka i okazjonalnie szatniarka, a straż przemysłową zastąpiła firma ochroniarska. Nie tak dawno wejście zmieniono na bardziej reprezentacyjne, w środkowej części budynku. Lastrico zastąpiły granity, płytę spilśnioną – aluminium. Zrobiło się światowo. W recepcji siedzą już dwie eleganckie panie z komputerami. Wizytujący musi teraz stanąć w kolejce, wylegitymować się i wypowiadać, do kogo idzie. Jeśli wynik badania jest pozytywny, petent zostaje oczcipowany, a jego bagaż zeskanowany aparaturą do wykrywania metali i czegoś tam. Pozostaje jeszcze tylko poczekać na pracownika urzędu, który odholuje petenta na trzecie piętro, gdzie mieści się urząd. Nie wiem, jakie jest zagrożenie atakiem terrorystycznym tego budynku, sądzę jednak, że znikome. Ale gołym okiem widać, że urząd oddala się od obywatela dosłownie i w przenośni. Zresztą nie tylko ten.

Jeśli na 87 paragrafów rozporządzenia o standardach mamy grubo ponad sto odwołań do innych paragrafów, to czytanie tego aktu ze zrozumieniem jest udręką nawet dla prawnika. Tak musiała się skończyć próba karkołomnej zamiany instrukcji stricte technicznej w akt prawny. Zamiast zrobić kilka tabel, usiłowano geodezyjną rzeczywistość opisać słowami. W pierwszej wersji rozporządzenie liczyło 250 stron! Prawnicy pogonili więc autorów (same tuzy polskiej geodezji). Już

wtedy trzeba było stanąć okoniem i powiedzieć: stop! Ale kto to miał zrobić? Za bramkami do wykrywania metali jest inny świat, inne problemy i priorytety.

Na wszelkie uwagi w tym zakresie kierownictwo GUGiK miało jedną odpowiedź: nie pozwalają na to przepisy. Normalka. Czasem człowiek odnosi wrażenie, że niczego w tym kraju nie można zmienić, bo nie pozwalają na to jakieś paragrafy. Że nieżyciowe, głupie, niekonstytucyjne – nie ma znaczenia. Doły chcą zmian, ale góra albo wie lepiej, albo woli święty spokój. Dlatego te światy coraz bardziej oddalają się od siebie. Jak bardzo? Przykładem jest właśnie rozporządzenie o standardach oraz sposób jego legislacji. Dość powiedzieć, że choć ostatecznie liczy ono zaledwie 19 stron zasadniczej treści, to już trzeba je było uzupełnić wyjaśnieniami, które zajęły dwa razy tyle. A i tak nie rozstrzygnięto wszystkich wątpliwości. Najgorsze, że do nowelizacji nadawało się ono już w dniu opublikowania. A że rozporządzenie jest bez sensu, pośrednio przyznał nie tak dawno (za podpowiedzią Komitetu RM ds. Cyfryzacji) sam minister Michał Boni, odnosząc się do technicznych załączników w treści rozporządzeń.

Problem w tym, że nikt ani na dole, ani na górze nie wie, kim tak naprawdę ma być geodeta. Bo z jednej strony powinien być przedsiębiorcą, a z drugiej prawie notariuszem, sędzią i urzędnikiem w jednym. Taki ni pies, ni wydra, coś na kształt świdra. Szkopuł w tym, że jest w tym sprzeczność. Biznes, obojętnie duży czy jednoosobowy, to nic innego jak zarabianie pieniędzy. Czyli, upraszczając: zrobić dużo i szybko, a jak się da, to i dobrze. Bo trzeba zarobić na pensje dla ludzi, na sprzęt, a może i na nowy samochód dla szefa. W przypadku notariusza, sędziego czy urzędnika chodzi zgoła o co innego. Więc jeśli wybraliśmy taki model, że katastrofem (choć nie

tylko) mają zajmować się przedsiębiorcy, to nie powinniśmy ich pętać nieżyciowymi przepisami. Bo inaczej mamy gwarantowaną bylejąkość i cwaniactwo. Poza tym, a może przede wszystkim, wydając złe przepisy, urząd mocno traci na wizerunku. Niestety, są też tacy, którzy na nich zarabiają.

Nie ma wątpliwości, że góra straciła kontakt z Ziemią. Wystarczy posłuchać, co mówią ci, którzy efekty działania rozporządzenia o standardach muszą codziennie przekładać na swoje być albo nie być, tyrając na budowach i po polach.

● Ogólnie rzecz biorąc

Pan P.: Nie spotkałem się jeszcze z pozytywną opinią o rozporządzeniu ws. standardów. Miało ujednoczyć działanie wykonawstwa i administracji, a okazało się, że jest odwrotnie.

Pan J.: Nic się nie zmieniło na lepsze przy okazji nowych standardów. Za to jest masa papierów do wypełnienia i wydrukowania. Przy drobnych robotach nawet kilka razy więcej niż wcześniej. Najmieszniejsze jest to, że połowę tych kartek z operatu oddają nam przy odbieraniu roboty.

Pan C.: GUGiK bez zastanowienia wprowadził te przepisy. Jak robisz pan inwentaryzację przyłącza, to musisz zmierzyć czołówkę do tego przyłącza. Jak się okaże, że narożnik budynku różni się o ponad 15 cm od tego, co jest na mapie, to musisz pan robić korektę w ewidencji. Czyli inwestor każe geodecie pomierzyć przyłącze, a płaci za przyłącze i za naprawianie byków w ewidencji. Czy to jest uczciwe?

Pan P.: ARiMR na potęgę kupuje GPS-y z górnej półki, GDDKiA i jej terenowe oddziały także, podobnie jest w innych instytucjach. Wszystko to sprowadza się do ograniczenia roli firm geodezyjnych. Za-

miast w przepisach sporządzić katalog prac geodezyjnych, który zabezpieczyłby rynek pracy dla wykonawców, my idziemy w drugą stronę. Czyli żeby te prace jeszcze bardziej uszczegółowić, żeby się bezsensownie grzebać w milimetrach, żeby jeszcze bardziej dać geodetom w kość. A wszyscy inni, którzy nie potrzebują zgłaszać robót do zasobu, są do przodu.

Pan D.: Ludzie, którzy pisali rozporządzenie o standardach, są oderwani od rzeczywistości, nie wiedzą, jak to wszystko wygląda na dole.

Pan J.: Wszyscy biorą na przeczekanie. Największy ból mają pewnie ci, co pracują w ośrodku. I – jak to ludzie – jedni widzą, że absurd goni absurd, i przysmykają oko, inni, bardziej drobiazgowi, wypunktują cię w protokole kontroli.

• Spotkania trzeciego stopnia

Pan B.: Jak to widzę? Jest zero zaufania do geodety wykonawcy i zero zaufania do baz, jakie ośrodki mają u siebie. Ale czy to moja wina, że kiedyś była inna technologia, że nie było kontroli, że w bazach

jest groch z kapustą? W ośrodku za miedzą robili ewidencję z mapy 1:5000! Czy ktoś sięgał do operatów wyjściowych ze współrzędnymi? A gdzie tam. A budynki jak zrobili? Polecieli z rastrów. Było szybko, było tanio.

Pan D.: U nas w ośrodku hitem są naklejki-dupokrytki. Nakleja się je na odbitkach mapy do projektu. W tabelce na naklejce wpisują standardowo, że mapę wykonano bez ustalenia obciążeń z tytułu służebności, że jest bez konturów użytków gruntowych i że do końca nie wiem, jakie przewody są pod ziemią. Gdybym

musiał to wszystko zrobić, mapa kosztowałaby kilka razy więcej. W rozporządzeniu nie wyczytałem, że mają być jakieś naklejki. Czy są w innych ośrodkach? Nie wiem. Ale na pewno w każdym powiecie jest inaczej.

spektor, który miał niewiele wspólnego z terenem albo w ogóle w nim nie pracował, trzyma się sztywno paragrafów. Do tego góra robi im nasiadówki. Jak nagle wszyscy zaczynają zwracać uwagę na jedną rzecz, to wiadomo, że właśnie mieli pogadankę.

Pan C.: Nasz najjaśniejszy geodeta miejski wydał zarządzenie, że jak pan robisz mapę do projektu, to masz przynieść inspektorowi wszystkie kopie mapy, nawet jak inwestor żąda dziesięciu odbitek z każdego arkusza. A jak inspektor znajdzie błędy, to wyrzucasz pan kilkadziesiąt arkuszy do kosza. Za tydzień, jak zanosisz pan do ponownej kontroli, zabawa zaczyna się od nowa. Rzecz jasna, wszystko na pana koszt.

Pan J.: Inspektor odrzucił mi robotę, ponieważ spis treści nie rozpoczynał się tytułem „Spis treści”, choć w rozporządzeniu nie ma o tym słowa. On żyje w swoim zaczarowanym świecie, a ja jestem z robotą o tydzień do tyłu. Krew mnie czasem zalewa.

Pan P.: Są jeszcze ośrodki, które kompletują operaty po staremu. Na jakiej podstawie? Nie wiem, bo przecież mieli ujednoczyć zasób. Skutek jest taki, że ta sama robota według inspektora z jednego ośrodka ma mieć 12 stron, z drugiego – 8, a z trzeciego – 5. To jest paranoja.

Pan L.: Czy oni [GUGiK – JP] zdają sobie sprawę z tej papierologii, z tego, jakie są skutki uboczne tego wszystkiego?

Pan F.: Wywiesili na tablicy kartkę, że jak robisz jakieś opracowanie jednostkowe, to źródła (wg rozporządzenia o ewidencji) mogą być oznaczone tylko atrybutami: 1, 2, 5 i 8. Ale w rozporządzeniu nie ma upoważnienia dla starosty, że może sobie je dowolnie wybierać. Sterowanie geodetami odbywa się przez wywieszanie informacji na tablicy ogłoszeń. Pracownicy ośrodka traktują to jako polecenie służbowe. Ale dlaczego ma to być obowiązujące dla mnie? To nie informacja kolejowa. To powinno być w formie zarządzenia umieszczonego na stronie internetowej ośrodka, albo – marzenie – wysłane mailem do wykonawców.

Pan B.: Generalnie to nowe rozporządzenie, które wycięło stare instrukcje, spowodowało, że kompletowanie operatu nie jest uregulowane, poza warunkiem, że operat ma być jeden. Ale u nas wymyślili, że operat ma być kompletny jak dawniej, czyli w trzech częściach. Powołują się na zarządzenie

Pan L.: U nas ostatnio jeden inspektor się wycwaniał i nie pisze w protokole kontroli, że w sprawozdaniu technicznym nie podano np. kategorii uprawnień, ale odwołuje się do prawa geodezyjnego lub paragrafu rozporządzenia, a ty masz dochodzić, o co mu biega. Najczęściej jest tak, że in-



geodety miasta z lat 70. Większość wykonawców tak robi, bo nie chcą z nimi zadziierać. Gdzie indziej jest różnie, ale w takim P. też jest po staremu i mówią: niech GUGiK wyda przepis, jak operat ma kartka po kartce wyglądać, to wtedy będziemy tak robić.

Pan D.: Najśmieszniejsze jest to, że na twoich oczach rozpieprzają dopiero co przyjęty operat. Wyrzucają pierwszą stronę i spis treści, czyli niszczą dokument. Spis zawartości mówi, że ma być zgłoszenie roboty, ale przecież go tam nie ma, bo mi oddali, ma być wykaz zmian, ale też go nie ma, bo wyrwali na moich oczach, żeby wysłać „do dzielnicy”. Za pół roku, rok nikt nie będzie w stanie skompletować tego pomiaru.

• Geokracja

Pan F.: W ustawie *Pgik* jest napisane, że osnowę prowadzi starosta, a oni tu wywiesili sobie, że na podstawie paragrafu takiego to a takiego my, wykonawcy, mamy sprawdzać osnowy, czyli dawać informację o punktach. Tyle tylko, że to nie jest moje zadanie, to jest zadanie starosty.

Pan P.: W części rozporządzenia dotyczącej pomiarów GNSS nie zdefiniowano dziennika pomiarowego, co następcza dużo problemów. Każdy ośrodkowy inspektor wymyśla po swojemu, co w nim powinno być. Jeśli jednak żąda liczby epok pomiarowych, to znaczy, że nie ma pojęcia, co kontroluje. Niektórzy są niereformowalni.

Pan C.: Robisz pan przyłącze, co ma 5 metrów długości. To poza szkicem i wykazem współrzędnych trzeba dołączyć jeszcze 10 albo i więcej nikomu niepotrzebnych kartek. Weź pan takie sprawozdanie techniczne. Po co komu informacja, jakim instrumentem je mierzyłem? Po co w ogóle opisywać tak prostą robotę jak pomiar kawałka rury? No czy ich po...?

Pan L.: Proszę pana, w naszym ośrodku z pomiaru przyłącza robi się teraz całe elaboraty. Ja mam niewiele lat do emerytury, więc mnie to bawi, ale żal mi tych młodych. Nie dość, że niewiele umieją, to nie wiedzą, że pracują ku chwale głupoty.

Pan P.: Mierzę na przykład słupy energetyczne oddalone od siebie o sto parę metrów. Mam do wyboru albo pomierzyć je dwa razy, albo pomierzyć czołówkę pomiędzy tymi słupami. Jasne, że lepiej przycisnąć dwa razy guzik w tachimetrze. Przecież to jest nonsens. Technologia daje takie możliwości, że pomiar jest

na bieżąco weryfikowany w systemie. A podwójny pomiar przekłada się bezpośrednio na moje efekty ekonomiczne.

Pan D.: Zgłosiłem robotę, w materiałach z ośrodka wszystkie granice miały atrybut 7 (współrzędne przyjęte ze skanowania mapy). Ale jak to możliwe, jeśli na tym obrębie niedawno robiono modernizację ewidencji gruntów? Są operaty, są dokumenty pozwalające nadać lepsze atrybuty. Dlaczego ich nie wykorzystano? Kto za ten bałagan odpowiada?

Kolega zrobił aktualizację mapy do projektu, pozmieniał atrybuty itd. Pół roku później znowu musiał zrobić aktualizację tego samego kawałka. Z ośrodka dostał wydruk ze stanem sprzed roku. Atrybuty, oczywiście „siódemka”. To po co my to wszystko robimy?

Pan F.: Te atrybuty to zupełna katastrofa. Dostaję materiały z ewidencji, wszystkie punkty z ósemką. Wyznaczyłem je w terenie, nie ustalałem granic, bo nie było potrzeby, a inspektor do mnie, że jak je sam wytyczyłem i pomierzyłem, to powinno być 1 albo 2. Tylko że przecież nie ja byłem źródłem danych. Pokazałem tylko w terenie to, co mają zapisane w ewidencji. O co w tym wszystkim chodzi? O przerzucenie roboty i odpowiedzialności na wykonawców.

Zresztą, proszę pana, o czym my rozmawiamy. Rozporządzenie o ewidencji, w którym pojawiły się atrybuty, weszło w życie w 2001 roku, a oni tutaj obudzili się dopiero w 2010. A znam takie starostwo, w którym mówią wprost: nie przejmuj się atrybutami.

Pan D.: Porządkują ten bajzel za nasze pieniądze. Teoretycznie powinno to być zrobione przy okazji modernizacji ewidencji, ale modernizację puszczono tak, by obejść się wektoryzacją, bez sprawdzania granic, bez sięgania do operatów. WINGiK zatwierdził warunki techniczne, ktoś przyjął robotę, a firmy wzięły za nią spore pieniądze. A to, że punkty graniczne nie spełniają norm dokładnościowych, tych 10 cm, choć miasto zapłaciło za bubel miliony złotych, nikogo nie obchodzi. My mamy teraz walczyć o te centymetry? Czy to jest w porządku?

Pan P.: „Perełką” są zmiany w ewidencji gruntów i budynków robione przy okazji map do celów projektowych, kiedy wykonuje się pomiar budynków nowo budowanych, usuwa te, które zniknęły, itd. Teraz każą nam przy tych mapach robić kartoteki budynków. Zlecenie klienta jest na mapę do projektu, a urząd wprowadza zmiany w EGIB. Pytam się: na jakiej pod-

stawie? Czy jest prowadzone jakieś postępowanie, czy to czyjeś widzimisie? Przy takim podejściu można zalegalizować tysiące samowoli budowlanych, jeśli to mapa do projektu ma być podstawą do aktualizacji ewidencji. To jest kryminał.

Pan F.: Kiedyś wykonywałem podział dużej działki. Miała kilkaset punktów i nie było żadnych materiałów w ewidencji. Za to w środku była jeszcze działka wykrojona operatem podziałowym, czyli źródło z atrybutem 5, dokładność 10 cm. No ale co wtedy zrobić z pozostałymi kilkuset punktami? Ma pozostać źródło z atrybutem 8 i dokładność 30 cm? Czy zrobić ustalenie granic, żeby źródło miało atrybut 5 i dokładność 10 cm? A jak to się przekłada na inwestora? Za zwykły podział zapłaciłby 6 tys. zł. A jeśli mam zrobić ustalenie granic, to tyle kosztowałoby samo wysłanie zawiadomień do stron, a całość roboty zamknęłaby się kwotą co najmniej 30 tys. złotych. Gdyby urzędnicy poważnie podeszli do modernizacji, nie byłoby tych kłopotów.

Pan D.: Jak teraz robię mapę do projektu, muszę przejrzeć ileś tam operatów archiwalnych i znajdę coś albo nie. Jak znajdę, to sukces, robię przekwalifikowanie atrybutów. A jak nic nie ma, to zaczyna się cała procedura z wyniesieniem granicy, z powiadomieniem stron itd. Jak dobrze pójdzie, wszystko zajmuje 3-4 miesiące. Tylko że jak nie chcesz stracić klienta, to nie możesz mu powiedzieć, że dostanie mapę po takim czasie.

Pan C.: A ja mam zainwentaryzować kolejno 40 przyłączy. Mam 40 osobnych robótek przy tej samej ulicy. Do każdej muszę brać opisy topograficzne, czyli 40 razy po 6 tych samych opisów. Jaki w tym sens?

Pan J.: Jest przerost formy i dokładności nad treścią. Wiedzą o tym i co niektórzy inspektorzy. Teraz, kiedy trzeba robić ścisłe wyrównanie, na końcu dostajemy różnice we współrzędnych punktów pomiarowych w stosunku do tego, co było kiedyś, rzędu kilku milimetrów. Biorąc pod uwagę, że wynik zaokrągliła się do centymetra, wychodzimy na to samo.

Dzięki Bogu, że wymyślono GPS, bo nie trzeba się w to bawić, choć jest mniej dokładny. A najlepiej byłoby chyba mierzyć wszystko taśmą i na przyzmat. Pan przestudiuje rozporządzenie.

• Wierzcie, nie wierzcie

Pan D.: Narobili bałaganu i tyle. Dodać mapę do projektu można było robić z „jedyneką”, teraz, jak trafi się na rozgra-

niczenie, to można ją robić tylko, jak się ma „dwójkę”. Czyli znowu zacznie się ruch w szkoleniach i uprawnieniach. Jak źródółko wysycha, to szukają nowego.

Pan F.: Rozporządzenie jest źle napisane i niejednoznaczne, dlatego są różne interpretacje. Były komentarze na Geoforum.pl, dlaczego mamy teraz ten cyrk ze szkoleniami w całej Polsce. Jakby napisali coś jasno i zrozumiale, nie trzeba by tego tłumaczyć, a ekipa pod batutą pana R. nie musiałaby jeździć w Polskę. Jeśli uczestnik płaci ponad 300 złotych za szkolenie, łatwo sobie wyliczyć, o jakiej kasie mówimy.

Pan J.: Zrobiłem analizę dokładności niwelacji wykonanej za pomocą tachimetru, wyszło 3 mm, czyli poniżej 2 cm wymaganych w rozporządzeniu, ale oczywiście inspektor nie przyjął roboty, bo nie ma dziennika z niwelacji. Wychodzi na to, że pomiar wykonany sekundowym instrumentem za 50 tys. zł uzupełniam pomiarem robionym instrumentem za osiemset złotych. Jak sobie radzą inni? Pewien producent oprogramowania poszedł na całość i dodał funkcję „stwórz dziennik niwelacji”. Dwa kliknięcia i masz 5 km niwelacji.

Pan D.: Jeśli nie zrobię tak, jak inspektor zażąda, to nie sprzedam roboty klientowi. Jak nie sprzedam, to nie zarobię. Ale są już ponoć tacy uprawnieni „specjaliści”, którzy mają pieczętkę ośrodka. To oczywiście ma krótkie nóżki, ale dużo mówi o sytuacji w geodezji.

Pan J.: Jeden gość przez pół roku leciał na reperach z innej dzielnicy, bo mu się pomyliły numery punktów, i żaden inspektor tego nie zauważył. A pewien wykonawca wyklikał z mapy do projektu przebieg kanalizacji, ale nie chciało mu się klikać obok punktów załamania, tylko dokładnie na nich. Więc wyszło, że przewód został ułożony z milimetrową dokładnością. Skąd to się bierze? Kasa, misiu, kasa!

Pan P.: Znam taką budowę, gdzie cała praca polegała na tym, żeby wpisać do dziennika budowy „tyczenie budynku”. Wszystko inne zrobili obcokrajowcy, mieli odpowiednie instrumenty itd. Po co im potrzebny polski geodeta? Ja wyceeniłem tę robotę na kilkadziesiąt tysięcy, a jakiś usłużny geodeta uprawniony wpis do dziennika zrobił im za parę stów.

Pan J.: Wiadomo, że nie wszyscy nasi koledzy są uczciwi, ale nie mogę zgodzić się z tym, co powiedział jeden z inspek-

torów: to donoście, bo jak ich nie wyeliminujecie, odpadniecie z gry. No to k... odpadnę i pieprzę to wszystko. Może jestem kiepskim geodetą, ale nie jestem kapusiem!

Pan D.: Jak założysz bagnet, to już jest tragedia, nie chcą tego przyjmować. Nie zdają sobie sprawy, jak wygląda sytuacja w terenie. Każą policzyć jakąś podpórkę, na pałę, by go podeprzeć, muszą kombinować. Zresztą większość kombinuje.

Pan M.: Czy coś się zmieniło? Jest tak samo lub gorzej. Pojawiło się wielu młodych wykonawców, którym rzetelność i legalizm są niezbrane. W ośrodku w moim mieście, gdzie oddają najwięcej robót, prawie wszyscy pracownicy mają firmy geodezyjne. W tej sytuacji prowadzenie normalnego geodezyjnego biznesu mija się z celem. Nie jestem w stanie konkurować ani z ignorantami, którzy zaniżają ceny, bo nie mają zielonego pojęcia o robocie, ani z tymi, którzy mają bezpośredni dostęp do materiałów i bazy ewidencyjnej.

Pan F.: Dla ośrodka z założenia jesteście oszustami. Część geodetów boi się

inspektorów, bo ci mogą przytrzymać im robotę i dobić finansowo, a inni nie czują się na tyle mocni w przepisach, by walczyć.

Pan P.: Ci, co kontrolują, nieprzypadkowo wiedzą, kogo dobrze skontrolować, a na czyją robotę przymknąć oko. W ośrodkach dorabiają wszyscy, a starosta daje na to przyzwolenie. No i pod latarnią jest najciemniej. Oni nie płacą ZUS, podatków, nawet opłat za materiały z ośrodka. Że nie da się pobrać materiałów bez zgłoszenia roboty? Pan jest naiwny, nie zna pan życia.

• Klient i specjalista

Pan K.: Poszedłem do ośrodka po mapę i sprzedali mi odbitkę A3 z pieczętkami, z których wynika, że ta mapa do niczego się nie nadaje, bo jest nieaktualna i nie wiadomo, czy pokazuje stan sprzed tygodnia czy sprzed 10 lat. Za to zostałem skasowany na 55 złotych. Kupiłem coś, co mogę sobie powiesić na ścianie.

Pan Z. rozpoczynając jedno ze szkoleń: Wprowadzę państwa w rytm standardów...

Jerzy Przywara

REKLAMA

Księgarnia geoforum.pl poleca

Henryk Bartoszewicz
Z dziejów kartografii Mazowsza i ziem sąsiednich XVII–XX wieku

w lutym promocja
65 zł
 zamiast 80 zł

• 28 rozdziałów • 48 map i planów • 230 stron